

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 6 marca 1909 r.

№ 10.

Od Redakcyi.

W № 11<sup>m</sup> rozpoczniemy druk powieści historycznej Wacława Gąsiorowskiego p.t.: **Emilia Plater**, osnutej na tle wypadków 1830-1831 roku.

Władysław St. Reymont.

## MARZYCIEL.

10

— Biedacy, prawdziwi biali murzyni, proletaryusze!—kpił Józio, ale dozorca machnął lekceważąco ręką i, gdy pociąg odszedł, zaczął się dźwigać do wyjścia.

— Psa szkoda na taką pogodę, a człowiek musi!—jęknął, wytaczając się z pokoju.

Stacya już zupełnie opustoszała, na peronie hulał wiatr, i przevalały się coraz większe tumany śniegu, Józio zabierał się do robienia kasy, gdy wszedł zawiadowca, skarzając się na jakiś okólnik, którego nie mógł zrozumieć.

— Ależ to zupełnie głupie i bez sensu!—wykrzyknął Józio, rzucając papier.

— Panie Józefie, to okólnik dyrekcyi!—ostrzegał, nieco zgorzony jego słowami.

— Właśnie dlatego taki głupi! Przecież cała dyrekcyja—to patentowane osły!

Na szczęście woźny przyniósł pocztę i położył ją przed zawiadowcą.

— Zagraniczne, to dla pana!—segregował, odsuwając sporą paczkę listów i gazet.—Ależ pan ma robotę—prowadzić taką rozległą korespondencyę?...

— Jak się ma tylu znajomych po różnych kątach świata, to się musi, trudno!

— Niech pan żałuje wczorajszego preferka, dziekan wpadł na sześć rubli, panna Irena pytała się o pana, a pulardki były, że całować w kuperki! Jakże tam było u prezesów?

— Jak zwykle, dużo okolicy, dużo pięknych dam i dużo wina!—kłamał bez zająknięcia.

— Podobno z niemi krucho. Mówili mi żydzi, że w mieście nie chcą im już kredytować, ale pan prezes robi wielką osobę, ludźmi pomiata i nadyma się, jak paw, aż którego dnia wezmą dyabli całe jaśnie państwo i będzie trzeba wycierać różne przedpokoje i skamlać o posadkę choćby na kolei!—mówił ze zjadliwą przyjemnością.

Józio, ledwie hamując rozdrażnienie, powiedział mu zciszonym głosem.

— Zły adres, panie naczelniku! Prezes mógłby zostać choćby nawet dyrektorem naszej drogi... Już mi nawet wpominali o tem!—dodał z naciskiem.

— Co pan mówi, naprawdę?—oślupiał ze zdumienia.—A niechże mnie kurki zadziobią, to będę miał bal! Prezes pogniewał się na mnie, bom kazał jego kosze wyrzucić z wagonu i oddać do opłaty. Ale ktoby się był spodziewał, kto?—jęknął zgnębiony.

— Mogę pana wytłumaczyć przed prezesem...—rzucił bardzo łaskawie.

— Ależ zrobi mi pan prawdziwą łaskę i dobrodziejstwo! Zawsze miał pan we mnie przyjaciela, zawsze! Czem ja się panu odwdzięczę? A może panu potrzeba nafty? może węgla? A możeby pan jadał u nas obiady? Z całego serca proszę, podzielę się z panem jak z bra-



tem! — wołał entuzjastycznie, ścisnąc mu gorąco ręce.

Józio doskonale się bawił tą jego nagłą, uniozoną serdecznością.

— Dziękuję panu, ale co do tego dyrektorstwa, to nic pewnego, może jeszcze nie dostać, mogą zwyciężyć inni... Niepotrzebnie się wygadałem...—narzekał rozmyślnie.

— Ja panu ręczę, że dostanie. Jakże, prezes towarzystwa kredytowego ziemskiego, putiejec, figura, sam gubernator bywa u nich, dałbym głowę, że dostanie...

— Ale to tajemnica, rozumie pan, nawet przed żoną...

— Słowo honoru, że pary z gęby nie puszcę.—Ucałował go siarczyście, palnął się w czoło i wykrzyknął gorąco:—Istotnie, ale trzeba było być osłem!—I wyszedł.

— Da mi się teraz rozsmarować, jak masło!—myślał Józio i, rozbażwiony wspaniałym kawałem, wesoło pogwiżdzywał, zabierając się do roboty, ale śnać mu było nie dano skończyć jej spokojnie, gdyż wkrótce wleciał, jak burza, młody, buńczuczny chłopak o płowej, lwiej grzywie i orlim profilu, buciki miał za to srodze sfatygowane i majteczki w dole gęsto obdziergnięte naturalną frendzlą...

— Przyszedłem do pana z wielką prośbą...—zaczął jakoś wstydliwie a tajemniczo.

— Słowo daję, nie mogę dzisiaj więcej, niż rubla...—Niechętnie wyciągał portmonetkę.

— Dziękuję, ale pieniądze mam, właśnie zmieniłem trzy fajgle. — Uderzył się w kieszeń.—Przyszedłem prosić o coś ważniejszego!—zarumienił się aż po białka szafirowych oczów.—Może mi pan pożyczycy frakowego garnitur! Obiecałem pojechać na bal do Rudki, lakiery pożyczycy mi Wacek, rękawiczki mam, krawat sobie kupię, ale brak mi tej reszty i znikąd nie mogę jej wydobyć...—biadał żałośnie.

— Wie pan, że nie pożyczycy się nikomu trzech rzeczy: zegarka, fraka i kochanki! Ale dla pana odstąpię od zasady i mogę odstąpić dziewczynę, tylko fraka i zegarka nie dam!

— Niech się pan zmiłuje na-

demną, od tego balu zależy moje życie, nawet mój los...

— Ten los ma niebieskie oczy, blond włosy i buzię, jak świeżo upieczona bułeczka! Znam to, wiem, pierwszy kontredans, wyznanie w trzeciej figurze, przysięgi po kolacyi, skradziony całus w galopadzie, kwiat z bukietu, czasem nawet obcas, oderwany od bucika najdroższej, lub przepocona rękawiczka, potem opóźnienie na służbę, monity od władzy, rozpacz i t.d. — drwił, rozbawiony jego tragiczną miną.

— Pan żartuje, a ona naprawdę mi obiecała pierwszego kontredansa...

— Wierzę, ale fraka nie pożyczycy panu stanowczo!—Odwrócił się do roboty.

— Co ja teraz pocznę, biedna sierota? Chyba pojedę w mundurze, to nawet będzie poważniej, nieprawdaż, panie Józefie?

— Każ się pan grochowinami wypchać i pomalować na żółto, a będzie jeszcze poważniej.

— Strasznie mi jednak żal. Panna Jula powiedziała, że mi świetnie we fraku, do twarzy, ale tego rubla pan mi pożyczycy, co? Nie mam już ani jednego hopka!

— Niech go pan sobie weźmie z tych trzech, zmienionych przed chwilą fajgli...

— Niby jakto? Ha! ha! ha! Pyszny kawał!—zaśmiał się serdecznie, wzburzył czuprynę, musnął palcami miejsce na wąsy i poleciał, zapomniawszy o drzwiach.

— Zamykaj pan!—krzyknął za nim, ale wiatr już rymnął do środka i, zgarnąwszy papiery ze stołów, rozwiewał je po całym pokoju, niby białe, suche liście.

Przez stację włókł się leniwie węglowy pociąg, niby rudy pies o wychudzonych bokach i zaśniewionym grzbiecie, ciągnął się powoli z ciężkim sapaniem i głuchym turkotem kół. Wicher bił nieustannie w okna, zasypując je śniegiem, na peronie przewalały się spienione, olbrzymie kłęby kurzawy, a miejscami tworzyły się już na szynach potężne groble dymiące, niby gejzery.

Do drzwi ktoś mocno zapukał.

— Bitte! Herein! Entrez! Please! —wykrzykiwał rozżłoszczony.

Wszedł pomocnik zawiadowcy z jamnikiem na smyczy.

— Obmierzłe bydło! — szepnął Józio, zezując nieufnie na psa. — Cóż tam na linii?

— Zawierucha, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają! Pod Rudką uwięzły w przekopie już dwa towarowe, jestem pewny, że w nocy staną wszystkie pociągi! To będzie niesłychane! Wiecie, zrobiłem nadzwyczajną facyendę!

— Zamieniliście buty na scyzoryk!—mruknął, nieukrywając zniecierpliwienia.

— Wymieniam Nestora na wspaniałą lankastrówkę! Co, nie nadzwyczajne?

— Szczęść Boże i daj długo wytrzymać! A któż taki głupi? Pewnie Soczek i po pijanemu?

— Zgadliście, właśnie odprowadzam mu pieska i zabiorę dubeltówkę.

— Uważajcie, może wystrzelić, zwłaszcza, jeśli nabita!

— Kpicie ze wszystkiego i nigdy z wami nie można pomówić seryo...

— Ależ można—i zaraz wam powiem zupełnie seryo, co się potem stanie: jutro zamienicie broń, no, dajmy na to, na torbę borsuczą, za tydzień torba przemieni się na kordelas, potem kordelas stanie się rogiem do prochu, a w końcu zamienicie róg na parę spinek do mankietów, które wyrzucicie za okno. Nie tak bywało?

— Orzynali mnie czasem, ale teraz robię kokosowy interes; pomysłcie, prawie nowa lankastrówka za jamnika, który mnie kosztuje dwie laubzegowe ramki! Pan Raciborski już chce kupić odemnie fuzję!—zawołał tryumfująco.

— Wiecie, jak się to razem nazywa? Zamienił stryjek siekierkę, na kijek, czyli kiełbie we łbie!

Wpadł maszynista rezerwowy, cały zaśniewiony.

DCN.





## ZEGARMISTRZ.

(Bajka.)

## I.

Mieszkańcy wielkiego miasta nad jeziorem, przechodząc główną ulicą, mogli codziennie oglądać w oknie znanego zakładu zegarmistrzowskiego pochyloną nad kantorkiem inteligentną twarz człowieka w latach podeszłych, przypatrującego się jakimś niezmiernie drobnym przedmiotom.

Był to we własnej osobie główny reprezentant firmy, a zarazem jej właściciel, pracujący ustawicznie nad udoskonaleniem swych wyrobów.

Wysoce uczony, rzadki wynalazca i niestrudzony pracownik ten doprowadził do doskonałości zegarków mechanicznych. Zegarki jego firmy słynęły szeroko po świecie i wszędzie uważane były za najlepsze, za wybornie chodzące, przytem wcale niedrogie i z tą ważną zaletą, że nie wymagały zbyt częstego nakręcania; nakręcone raz, chodziły długo same i rzadko się psuły.

Mieszkańcy miasta nad jeziorem cieszyli się bardzo ze swego zegarmistrza i z doskonałych zegarków, podług których regulowali z łatwością swe codzienne sprawy, każdą swą czynność zastosowując do właściwej pory, i w całym ich mieście panował wzorowy ład i porządek.

Wszystko więc szło jak najlepiej aż do chwili, gdy stało się wielkie nieszczęście.

Któregoś dnia ktoś, widocznie jakiś waryat, stanąwszy na samym środku rynku, ni stąd ni zowąd krzyknął:

„Zegarki chodzą fatalnie!”

Obecni mimowoli sięgnęli do kieszeni i, spojrzawszy na chronometry, ze zdumieniem spostrzegli, że to była prawda; zegarki chodziły tak źle, jak tylko można sobie wyobrazić.

Wiadomość ta wzburzyła całe miasto. I każdy, kto tylko miał zegarek, pośpieszył zanieść go do naprawy.

Mistrz przyjmował zegarki, rozbierał je, badał, przeczyszczał i, włożywszy znów do kopert, oddawał właścicielom, zaręczając, że „już teraz wszystko pójdzie dobrze!”

Jednakże nic nie poszło dobrze. Zegarki jeszcze gorzej zaczynały chodzić, coraz to kapryśniej i nieakuratniej, coraz to w fantastyczniejszy sposób.

Prosto rozum straciły!

Nie byłoby jeszcze wielkiego nieszczęścia, gdyby kończyło się tylko na tem, że u jednych była pierwsza godzina w tym samym czasie, gdy u innych piąta i nawet późniejsza,—lub że u jednych wskazówki posuwały się raz szybciej, to znów wolniej wtedy, gdy u innych wciąż się cofały lub stały ciągle na miejscu.

Lecz ta niedokładność w godzinach zaczęła dotkliwie odbijać się na sprawach całej ludności. Z powodu ustawicznego mylenia się w czasie,

przychodziło do coraz przykrzejszych nieporozumień.

I jeszczeby jednak nie było nic złego, gdyby to dotyczyło tylko prywatnych osób. Ale odbiło się to i na ważniejszych sprawach, na publicznych, odbiło się tak niekorzystnie, że zaczynał już grozić zupełny rozstrój wzorowego ładu i porządku, jakim cieszyło się owo piękne miasto.

Bo najstraszniejsze rzeczy działy się z wielkimi zegarami—z urzędowymi—z ogromnym katedralnym i miejskim wieżowym na ratuszu.

Chodziły one Bóg wie po jakimś i Bóg wie po jakiemu biły.

Aż któreś nocy naraz takie dziwaczne i głupie, takie niemożliwe zaczęły wydzwaniać godziny, że całą ludność, żyjącą wyłącznie myślą o zegarach, opanował strach nieopisany.

Powstała formalna panika. Uderzono w dzwony na trwogę, a huk dzwonów spiżowych, mieszając się z fałszywym dźwiękiem szalejących zegarów, tworzył jakiś waryacki, potępiący zgiełk nie do wytrzymania. Ulice wypełniły się tłumem po brzegi. Biegano, krzyczano, tracono głowy. Powstał taki zamęt straszliwy, że rząd uczuł się zmuszonym dla przywrócenia spokoju rozpedzić zbuntowaną ludność wojskiem. Lecz i ten środek nie okazał się dość skutecznym, gdyż z powodu niedokładności w godzinach nawet i wojsko pomyliło rozkazy—zaczęło strzelać za wcześnie...

Wobec takiego stanu rzeczy nie tylko już sama ludność, ale i władze z całą powagą zażądały od mistrza, aby natychmiast doprowadził zegary do porządku.

Mistrz, wyzyskawszy z kolei wszystkie środki i sposoby, na jakie zdobyć się mogła jego olbrzymia, wsparta wieloletnim doświadczeniem wiedza, przyszedł do przekonania, że niema sposobu zaradzenia złemu. Ciężko mu było jednak obwieścić ludowi tę prawdę, prawdę, zapowiadającą oczywiście jeszcze gorsze nieszczęścia, a dla niego samego będącą zupełnym bankructwem firmy.

Na szczęście był on nie tylko wielkim uczonym i zegarmistrzem, lecz i człowiekiem geniuszu, niezatrzymującym się na samych naukowych badaniach. Zaczął więc szukać w umyśle innego sposobu, chociażby mniej naukowego, lecz któryby prowadził do pożądanego celu.

I po długich samotnych rozmyślaniach przyszedł zegarmistrz do wniosku, że skoro przyczyna nieregularności chodu nie leży w samym mechanizmie, (gdyż sam mechanizm zawsze był niezaprzeczeniem dobrym), to musi istnieć jakiś głębszy powód tego smutnego zjawiska.

Zegarek jest wyrazem czasu, określnikiem jego i przedstawicielem. Wa-

dliwość zegarków leży widocznie w dliwoci czasów, które one reprezentują. Ponieważ zaś każdy zegar chodzi inaczej, stąd wniosek, że i każdy właściciel jego ma czas odmienny, czyli że każdy człowiek jest innego czasu i podług innego czasu żyje. Co głowa—to inna godzina...

I spostrzegł mistrz, że czas jednych ludzi jest przędszym, niż czas innych. Że u niektórych osób wskazują zegarki nawet bardzo dawne, zamierzchłe doby, a u niektórych znaczą jeszcze nienadeszłe chwile... I spostrzegł, że przeszłość z całym szeregiem epok umarłych nie przeszła—i kreśli się po wypadkach życia... i że zarówno przyszłość już chodzi po ziemi...

I te wszystkie najprzeróżniejsze i najsprzeczniejsze czasy dziś właśnie, pomieszane jedne z drugimi, pogmatwane, szarpające się, snują po miastach ludzkich, tworząc ten stan przerażający zamętu.

Wobec tego odkrycia przeszedł go zimny dreszcz grozy i włosy powstały mu na głowie...

Jakże zaradzić złemu?...

Trzeba uporządkować czasy ziemskie podług jednego wspólnego im wszystkim, wielkiego, zasadniczego czasu.

Czasy ziemskie regulują się oczywiście podług Zegara Ziemi, do którego należy dotrzeć i na ogólną ziemską godzinę nastawić wszystkie zegary.

## II.

Zmiarkowawszy kierunek, w którym należało dążyć, wyszedł mistrz z domu w nocy i przybył do odnogi wysokiej góry. Tam znajdowała się tajemna, znana tylko nauce jego pieczara, w głębi której było niewidzialne dla niebacznego oka wejście do głuchych, podziemnych korytarzy, rozbiegających się w rozmaitych kierunkach.

Zapuszczając się jednym z nich, głównym, schodził zegarmistrz w zupełnej ciemności coraz niżej w głąb ziemi, zbliżając się ku jej środkowi. Wkrótce jednak zaczęło się robić widniej z powodu jakiegoś magnetycznego światła i w tym czerwonym odbłysku zarysowały się zlekka kontury wielkich, poszarpanych głazów.

Im głębiej schodził zegarmistrz, tem bajeczniejsze sezamy nieprzebranych bogactw wewnątrz ziemi rozkwitły przed nim. Jak złoty skał, bryły złota i srebra, dyamenty wielkości dużych piaskowców wały się lśniące w nieładzie, podobne odłamkom słońca, rozbitych gromem wszechświatowej burzy.

Omijając te skarby, szedł uczony coraz dalej. Widział szkielety jakichś stworzeń nieznanych, wymarłych dawno na powierzchni ziemi. Skamie-



niałe smoki, żyjące jeszcze tylko w legendach. Monstra, koloru krwawej miedzi, gniewne a nieruchome, zrosnięte z granitem ścian, podtrzymujących sklepy.

W wyrazie ich tkwiło bezsilne wyteżenie i wściekłość, jak gdyby pragnęły rozsadzić wiążące pęta opoki.

Chwilami aż zajęczały posady od ich gwałtownego drgnienia...

Zaropiała lawa wulkanicznych kraterów, pożółłone strzępy gór, pokrywały grunt ślizki, nierówny, trudny do przebycia.

Z dołu i z góry dochodziły posępne odhuki pracujących sił jakichś.

Huk podziemnego pożaru, pieców lub kuźni, ogłuszających biciem, tysięcy gigantycznych młotów, wstrząsała dookoła posadę.

Tam pracowano nad wytwarzaniem nieugasającego ognia ziemi, nad podtrzymywaniem jej wewnętrznego ciepła...

Nareszcie ujrzał uczony w olbrzymiej, potwornie olbrzymiej pieczarze, znajdującej się w samym środku planety, straszliwy *Zegar Ziemi*. Ujrzał okrągłą fosforyzującą tarczę jego. Magnesowe wskazówki groźnie się obracały, wskazując ponure doby...

Przypatrzywszy się uważnie i obliczywszy czas, mimo całej swej grozy, nie mógł się oprzeć zegarmistrz wrodzonej ciekawości. Zaprzagnął zbadać mechanizm tego straszego zegara.

Wdarł się więc na granitowe kolumny, które podtrzymywały maszynę i zajrzał w jej tajemnicze wnętrza.

Olbrzymie, zgrzytające koła żelazne, pordzewiałe, grube, jak kilka naraz boa amerykańskich, sprężyny, ogłuszający chód wahadłowy, grzmotny szczepek złowrogo wydzwanianych godzin—to wszystko razem nie odstraszyło dzielnego badacza od śmiałych dociekań.

Mniejszym jeszcze, niż owad, w stosunku do olbrzymiej maszyny, wyglądał mistrz, łąząc po tych potężnych osiach i trybach, zaglądając uważnie w każde zagięcie, w każdą rdzę śruby, ząbienie koła...

I jakichże tajemnic tam się niedopatrzył...

Lecz gdy dokładnie to wszystko obejrzał i poznał całą skomplikowaną budowę, to przekonał się, niestety, że podług tego, co widział, nie można nastawić ludzkich kieszonkowych zegarków, gdyż i ten wielki, Elementarny zegar, Zegar Ziemi, nie chodzi wiernie.

Trzeba wprzód uregulować san. Zegar Ziemi podług jakiegoś jeszcze większego i prawdziwszego czasu.

Tym większym jeszcze zegarem jest niezawodnie Zegar Słońca.

I niestrudzony badacz wyruszył w dalszą podróż, która już była mniej trudną, gdyż właśnie stamtąd, gdzie się on teraz znajdował, zaczynała się najprostsza do krain światła droga.

Droga ta była gładka, łagodnie podnosiła się w górę i wiodła ku błękitom. Gdy wędrowiec znalazł się już na pewnej wyżynie, odsłoniła się oczom jego szeroka zieleń góriska. Tu i tam przecinały ją wężykowate, roz-

maicie w niebo biegnące ścieżynki i wstęgi srebrnych potoków, kryształowymi falami opadające w przepaści.

Nad głową widział wspaniałe orły, wyniośle szybujące pod obłokami i słyszał świst piór ich potężnych. A z kwietnych zarośli dochodził śpiew mniejszych, złotopierzych ptaszyn.

Spotykał białe postacie, jak mgła powiewne i przezroczyste, mające na czołach przepaski z ognia, a w rękę łuki z tęcz i strzały z księżycowych promieni. Istoty te maczały ostrza strzał w woni róż, świeżo rozkwitających na zboczach, napinały tęczę - łuki i pochylone, celując w dół, puszczały swe świetliste groty...

„Strzelają do serc ludzi w dolinie, by zatruć je czarem poezji, świeżością górskich przełęczy i drzeniem księżycowych brząsków“... — pomyślał w duchu wędrowiec.

Zacząła się długa aleja pomarańczowa, a po niej cyprysowa, a potem aleja z laurów, które wszystkie przebywszy, stanął mistrz przed stolicą z kryształu.

Przysłonił oczy ręką... Bo oto na dyamentowej wieży najświetniejszego z pałaców ujrzał olśniewające zjawisko.

Ujrzał *Zegar Słońca*.

Na jasnej tarczy, wielkiej, jak jezioro, zwierciadlił się błękit, i zorze a tęczę i obłoki winęły się wokół w przeróżne wzory i symbole. Szczęrołzote wskazówki stały na wzniosłej, idealnej godzinie.

Lecz doświadczona myśl uczonego i tu nie zdołała się oprzeć chęci poznania mechanizmu.

Nie zabrakło mu na to odwagi i wytrwałości. Więc zaczął badać misterną budowę, złożoną z samych promieni, ze złotych snów i marzeń, obracanych przez jutrznie, wijące się w koło i przeplatające wzajem, — budowę prawdziwą, w której każdy szczegół najmniejszy był arcydziełem sztuki zegarmistrzowskiej.

Lecz zbadawszy to wszystko dokładnie, mimo całego podziwu swego i zachwyty, przekonał się musiał i teraz, że nawet ten idealny zegar, Zegar Słońca, nie wskazuje dobrze.

Zasepił się nasz myśliciel i stał przez chwilę zniechęcony, w zwątpieniu i rozpacz. I wahał się tylko: czy lepiej wrócić do ludzi z wieścią, że niema sposobu uporządkowania ich bytów,—czy lepiej z wieży, na której się znajdował, rzucić się w otchłań i zginąć!

Po chwili jednak przyszła mu znowu myśl.

Muszą wszak istnieć jeszcze i inne czasy, musi istnieć inny zegar, większy i doskonalszy, niż zegar słońca i ziemi.

I poszedł mistrz w stronę nieznaną, w niezrozumiałym już nawet i rozumowi kierunku, w kierunku, który wskazać mogło tylko błyskawiczne natchnienie geniuszu.

Idąc więc teraz dziwną, niepodobną w niczem do poprzednich drogą, nie tyle już wzrokiem i myślą, co jakąś głębszą władzą ducha, przenikał nowe zupełnie i niepojęte zjawiska.

Szedł w dzień i w nocy. A był

tam dzień nie taki i noc nie taka, jak na ziemi. Panowało tam inne pojęcie światła i ciemności. Światło i ciemność, następując kolejno, tworzyły jakieś doby mistyczne, zapadające nie na świat jeden, lecz na wszystkie doby kosmosu. Więc gdy na ziemi mamy dzień lub noc, zależne od położenia naszego słońca, w tym samym czasie dla całych systemów planetarnych, zarówno dla słońc, jak i planet, jest dzień lub noc inna, mająca źródło w zupełnie odmiennych, nierozróżnialnych dla oczu stworzeń, zmierzchach i świtaniach.

Oto wśród takiej wszechogarniającej nocy, olbrzymie praświaty i prasyystemy światów umarłych, zwalone w gruz na samo dno wieczności i prochem wieków zagrzebane, jak w grobie, ulegają tajemnym jakimś czasom wszechistnienia. Wezwane ich zakłębieniem, zaczynają się poruszać pod popiołami i ożywiać zwaliska martwych kosmosów. Strazliwe żuźle słońc zaświecają się blade, zbiegają w kształt swój pierwotny i wyciągają ręce w nieskończoność... I wschodzą, jak opar z nad mogiły, fosforyczne widma pramgławic... Za nimi upiory gwiazd rozczochranych i trupy planet, czerniejące oczodołami swych nagich, kłocowatych czaszek, potwory konstelacyi i ciemne zodyaki, i rozwichrzonowłose fury komet zagasłych — wynurzają się z wirum szalonym i uderzają w przestworza... I oto, ku niepojętej zgrozie naszych uciekających światów trójwymiernych, zaczyna się Taniec Szkieletów!

Dzieją się rzeczy, o których gwiazdy opowiadają gwiazdom, koczując narodami po nieskończonym stepie z lazuru...

Zegarmistrz na własne oczy to wszystko oglądał i serce mu drżało od trwogi i od doznawanej po raz pierwszy nieludzkiej jakiejś rozkoszy.

Co krok spotykał nowe a Ziemi nieznanne pokłady materii i ducha... Jakieś wody - nie - wody rzek dziwnych... jakieś kwiaty-nie - kwiaty... i dziwne szумы i milczenia... Na skraj drogi olbrzymie drzewa - nie - drzewa, pochylone nad jeziorem, mającym barwę wieczności.

I widział zegarmistrz jakiegoś starca-olbrzyma, przechadzającego się pod drzewami, jak strząsał z nich dojrziałe owoce, podobne do słońc i księżyców... Starzec je podbierał i chował do kwiecistego kosza lub rzucał w tonie jeziora.

Już był uczony w pobliżu wielkiego zegara, już czuł jego obecność, już mógł go ujrzeć i coś dowiedzieć się o niezawodnym i absolutnym czasie.

Nareszcie ujrzał — i choć tam czasy były innego wymiaru,—ujrzał—zrozumiał—i poznał *Wielką Godzinę*.

Lecz była ona tak niewystawienie wielka, a wszystko dookoła tak niewystawienie piękne, i taka błogość nappełniła mu serce, że w tej ekstazie zapomniał mistrz o wszystkim, co dotąd obchodziło go w życiu, zapomniał więc i o drobnych zegarczynach, które miał naprawiać, a które, wobec



tego, co poznał, straciły dlań wszelkie znaczenie. Nie myślał już o nich i nie chciał wracać do świata. Postanowił tu pozostać na zawsze.

Lecz właśnie w tym niezmiernie błogim stanie uczuł nagie szarpnięcie

i ostry ból w sercu; a zarazem zgrzytliwy szcęk jakiś uderzył słuch jego, szcęk, wychodzący gdzieś strasznie z głębi—z nizin—gdzieś przeraźliwie z dołu...

To na ponurym Zegarze Ziemi wybiła jego własna godzina.

Któregoś dnia rano za kantorkiem znaleziono sztywniejący już trup genialnego Zegarmistrza, który umarł w nocy.



Stefan Krzywoszewski.

## PRZYWÓDCA.

10

Akt III.

Dramat w 3-ach aktach.

BRUKWA. Nie wiem... tak... podobno nie dali mu mówić. Sądny dzień, bo i latarnie na placu niezapalone, ciemno... (do Maryi). A mnie tak od tego wypadku, pani wie? z Jadzią... Pióra w palach utrzymać nie mogę, ręce ciągle się trzęsą. (Ludka nie może powstrzymać niepokoju, który ją nurluje, idzie do furtki i nastuchuje. Chwilami dochodzą echa krzyków, czasem blizkie rozmowy przechodzących spieszenie za parkanem robotników) (do Ludki). Niech pani nie wychodzi!... O wypadek łatwo (do Maryi). I taki ciągły niepokój... (nagle wzruszony). Jedenaście lat skończyła w Lipcu, uczyła się dobrze...

MARYA (niecierpliwie). Wiem, wiem (nagle zdecydowana). Ja idę.

BRUKWA (chwytając ją za rękę). Niech pani nie chodzi. Niebezpiecznie! (szcęk i gwar zbliżają się szybko i rosną). O, słyszy pani? (nastuchuje, do Ludki, która wychyliła się za furtkę). Niech się pani nie naraża. Lepiej do pokoju. Co tu się dzieje!

(Hałas i szcęk coraz bliższe, Marya biegnie do furtki).

### SCENA 9.

Ciż, Kazimierz, Władysław, tłum.

(Krzyki za sceną). Nie chce pan z nami? Nie puścimy pana! Z nami trzeba! Jak przyszło co do czego, to macie go!

(w furtce ukazuje się Kazimierz).

LUDKA (strwożona). Co się stało?

KAZIMIERZ (podniecony). Nic. Tam słuchać mię nie chcieli, a teraz chcą zmusić, bym szedł z nimi. Zmusić się nie dam!

(Za furtką ukazuje się ciżba robotników, przeważnie wyrostków, gotowsów).

GŁOSY. Nie puścimy pana! Wszyscy za jednego!

Raz kozie śmierć!

A pod spódnicę nieładnie się chować! (śmiechy).

Przespieczniej siedzieć w pokoju!

KAZIMIERZ (spokojnie do jednego z wyrostków). Jeszcze koszulę w zębach nosił, przyjacielu, kiedy ja dla sprawy narażałem wolność i życie (do innych). Do szaleństwa ręki nie przyłożę. Powiedziałem i nie odstąpię.

(chce zamknąć furtkę).

GŁOSY. Oho, zamyka się przed nami!

Boi się nas!

Teraz to nas się boi!

KAZIMIERZ (silnie). Nieprawda! Nie boję się ani was, ani nikogo! Boję się tylko własnego sumienia!

(Nowy szcęk i rozgwar zbliża się szybko).

WŁADYSŁAW (za sceną). Jesteśmy dość silni sami i gwałtem nie potrzebujemy zmuszać nikogo!...

GŁOSY (za sceną). Gdy przyszedł czas, nie wolno się chwiać!

Przedtem to potrafił gadać!

Zdrajca! Hańba!

(Za parkanem pojawia się gromada starszych i młodszych robotników, którzy ciągną za Władysławem. W okrzykach wciąż powtarzają się wyrazy: Zdrajca! Hańba!).

WŁADYSŁAW (przeciska się przez tłum i wchodzi furtką do ogródka; zwraca się do Kazimierza tonem lekko protekcyjnym). Idź do mieszkania. Lepiej niech cię nie widzą. Ja postaram się ich uspokoić (do tłumy). Towarzysze! Mnie przecież wysłuchacie! Zastąpiłem sobie na wasze zaufanie... (gwar i hałas milkną).

KAZIMIERZ (odsuwa Władysława, który go zastaniał). Przepraszam cię. Ja sam bronić się potrafię (otwiera furtkę naocześnie). Wejście, towarzysze. Kto chce, niech wejdzie.

Wdali słychać pieśń rewolucyjną, śpiewaną przez tłum; garść robotników, przeważnie wyrostków, wdziera się do ogródka, obstępując Kazimierza, Władysława, Ludkę i Maryę; niektórzy zagląдают aż na werendę, gdzie w kącie tuli się strwożony Brukwa).

KAZIMIERZ (do Władysława). Proszę cię, zajmij się nią (wskazuje na Ludkę).

LUDKA (przyciska się do jego ramienia). Nie, nie, ja nie odejdę!

KAZIMIERZ. Tylko na werendę, nie lękaj się... (Ludka odsłupiła parę kroków, on mówi do robotników). Krzykiem nie zrobicie nic. Powiedzcie wyraźnie, co mi zarzucacie, czego chcecie?...

DELEGAT 2. (wysuwa się przez furtkę). Na dyskusję teraz nie pora. Nasi idą na fabrykę. Kto z nami, ten pójdzie. Kto nie pójdzie, ten przeciw nam!

KAZIMIERZ (mocno). Szaleńcy! Fabryka będzie obstawiona wojskiem. Uścielecie tylko ziemię trupami! Wasza krew jest zbyt cenna, by ją rozlewać bezskutecznie!

GŁOSY. Naszą krew pomszczą inni!

Hańba!

Zapłacą za naszą krew!

KAZIMIERZ (z rozpaczą w zapale). Posłuchajcie mię, towarzysze. Przypomnijcie sobie, żeście niedawno jeszcze mieli do mnie zaufanie, żeście wierzyli moim słowom. Uwiercie jeszcze raz! To zły duch podsunął wam tę myśl. Ja boję się rzucać podejrzeń—to chyba wrogowie naszej sprawy pchają was tam! Nie wiercie prowokatorom!

GŁOSY. Oho! Prowokatorom! Nieprawda!

Co on gada! Hańba!...

KAZIMIERZ. (j. w.) Tak, prowokatorom, świadomym lub nieświadomym, którzy w strumieniach krwi robotniczej chcą utopić naszą sprawę. Czy wy nie rozumiecie, że szaleństwem waszym ułatwicie tylko zwycięstwo naszym wrogom? Bracia! Jutro setki matek i żon będą opłakiwać stratę synów i mężów, a w serca tych, co dziś rozgłośnie krzyczą, wstąpi niepewność, niepokój i trwoga!

GŁOSY. Nieprawda! Ty się boisz!



My się nie boimy!

Hańba tchórzom!

W taczkach go wywieźć!

W worek i na taczki!

DELEGAT 3 (*brutalnie*). Wygodniej siedzieć w pokoju i czekać, aż z pańskiego stołu spadnie jaki ochłap! (*wpada Szulc, bardzo wzruszony*).

SZULC. Towarzysze! Nasi idą na fabrykę!

(*Słychać głośniejszą pieśń rewolucyjną, śpiewaną za sceną przez tłum*).

WŁADYSŁAW. Nie traćmy czasu! Trzeba połączyć się z braćmi. Towarzysze! Naprzód! (*przedziera się ku furtce*).

MARYA (*biegnie za nim*). Wszyscy społem!

WŁADYSŁAW (*usiłuje ją zatrzymać*). Zostań! Kobiety tam nie potrzeba...

MARYA (*z dzikim zapalem*). Kobiety takie walczyć potrafią! Na fabrykę! (*wpada Garuniewicz i zatrzymuje się zdyszany w furtce*).

GARUNIEWICZ. Wojsko idzie!

DELEGAT 3. Zdrajcy! Sprowadzili wojsko! Chcą strzelać do bezbronnego ludu! (*Robotnicy cisną się do furtki*).

KAZIMIERZ. Towarzysze! Zaklinam was, nie dajcie się porwać uniesieniu!

GŁOSY. Wojsko idzie! Zdrajcy! Hańba zdrajcom!...

DELEGAT 3. (*wydziera się ku Kazimierzowi, Władysław siłą powstrzymuje go*). Pluć w gębę takim! Zdrajca! Puśćcie mnie!

SZULC (*za nim inni*). Hańba!

WŁADYSŁAW. Bez gwałtów, towarzysze! Nasze miejsce tam!

GARUNIEWICZ. Dla tchórzów i zdrajców pogarda!

KAZIMIERZ (*z rozpaczą w gło-*

*sie*). Kłamiecie! Źłe bezczelnie ten, co zowie mię zdrajcą. Zdrajcami są ci, którzy was, bezbronnych prowadzą pod karabinowe kule!...

GŁOSY. Wojsko! Wojsko idzie! Na fabrykę!

(*Tłum wysypuje się za furtkę i rozbiega*).

MARYA (*do Ludki z za furtki szyderczo*). Bądź szczęśliwa! Niech państwu życie będzie słodkie! Zasłużyliście na to oboje! (*wybiega*).

(*w dali nieustannie śpiewy i okrzyki*).

#### SCENA 10.

Kazimierz, Ludka, Brukwa.

KAZIMIERZ (*z pochyloną głową słoń w milczeniu, Ludka nie śmie doń przemówić, bardzo smutna*).

BRUKWA (*wychodzi z kąta werandy*). Ja nie mogę zebrać myśli. Nie wiem, co to jest, ale zupełnie nie mogę zebrać myśli. Co się stało? (*schodzi z werandy*).

KAZIMIERZ (*nie słyszał go, raczej do siebie, niż do Ludki*). Nazwali mię zdrajcą. I odeszli... jak od zdrajcy... (*w tej chwili zegar zaczyna bić wolno ósmą. Echo gwarów i śpiewów nieco umilkło*).

KAZIMIERZ (*w nagłym podrażnieniu*). Ten zegar! Ten zegar! Ludka! Ja nie wiem sam... (*w tej chwili słychać woddali salwę karabinową i echo strasznych krzyków. Kazimierz chce biec na ulicę, Ludka go zatrzymuje*). Puść mię.

LUDKA (*uwieszona u jego ramienia*). Na miłość Boską, Kaziu!...

BRUKWA (*pada na kolana*). I odpuść nam nasze winy!

KAZIMIERZ (*wyryna się*). Nasze winy! Kto nam odpuści nasze winy!.. (*do Ludki*). Mój obowiązek tam!..

LUDKA (*blagalnie*). Kaziu!

KAZIMIERZ (*w pół przytomnem podnieceniu*). Nie... ja nie mógłbym!.. Rozumiesz przecie!.. Nie mógłbym (*do Brukwy*). Ja nie jestem zdrajcą! Nie! Jeśli nie mogę z nimi walczyć, mogę z nimi przynajmniej umrzeć!

LUDKA (*z bolesnym wyrzutem*). Ty przecież nie myślisz, że to ja winna, że to wszystko stało się przezemnie?

KAZIMIERZ (*j. w.*). Nie wiem. W tej chwili nic nie wiem! Czy cię kocham, czy cię przeklinam... Nie wiem. Do widzenia! (*spieszy do furtki, nagle zatrzymuje się, wraca i bierze w objęcia Ludkę*). — Przebac!

LUDKA (*poważnie, choć z odcieniem głębokiego gdzieś na dnie duszy tryumfu*). A jednak miłość musi zwyciężyć. Wierysz?

KAZIMIERZ (*głęboko*). Tak.

LUDKA. Musisz iść?

KAZIMIERZ. Muszę (*długi uścisk*). (*Kazimierz wybiega, znika za furtką, długa chwila, rozlega się bliska nowa salwa karabinowa i odgłos krzyków i jęków*).

LUDKA (*traci równowagę umysłową i rzuca się w rozpaczliwym obląkaniu ku furtce*). Oni mi go zabili! Oni mi go zabili! (*wybiega*).

BRUKWA (*na pół przytomny, marnocze pod nosem*). Jeszcze zobaczę światło... (*gasi z trudem lampę; scenę ogarnia ciemność; słychać oddalający się gwar i krzyki, które cichną, w pobliżu odzywają się znów fortepianowe dźwięki pieśni Anitry, jednostajne, powtarzające się. Brukwa siada w fotelu z opuszczonymi rękami*). Ręce mi się trzęsą... myśli zebrać nie mogę... (*po chwili*). Nie miała jeszcze jedenastu lat... Uczyła się tak dobrze...

(*Zasłona spada bardzo wolno*).

KONIEC.

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

10

Przekład z angielskiego.

Rzekł kilka słów płynną arabszczyzną do Smaina; ów zwrócił się wtył i zniknął pomiędzy drzewami.

— Mam nadzieję, że pani pozwoli mi towarzyszyć sobie przez resztę ogrodu, — rzekł, zwracając się znowu do Domini. — Będę bardzo szczęśliwy.

— Wielka to uprzejmość z pańskiej strony.

Sposób, w jaki zmiana towarzysza została zarządzona, miał ce-

chy zwykłej, uprzejmej grzeczności, która do niczego nie zobowiązywała i niczego wzamian nie żądała.

— To moje małe ustronie, — ciągnął dalej hrabia Anteoni, stając obok u drzwi wejściowych, by Domini mogła przejść do wewnątrz.

Domini głęboko odetchnęła, znalazłszy się we środku.

Podłoga była z miękkiego piasku, mocno i gładko ubita, zasłana wschodnimi dywanami o barwach miękkich i splotałych,

ciemno - zielonych, zwiędło - różowych, szaro-niebieskich i mglisto-żółtych. Dokoła białych ścian biegły szerokie kanapy, równie białe, okryte dywanami modlitewnymi z Bagdadu i wielkimi poduszkami, pracowicie haftowanymi ciemno-złotymi i srebrnymi nićmi, z wzorami ibisów i flamingów w locie. W czterech rogach pokoju stały cztery małe stoliki do palenia z surowego drzewa palmowego, utrzymujące brązowe popielnice, zielone bron-



zowe pochodnie do zapalania papierosów i porcelanowe wazy ze smokami chińskimi, pełne aksamitnych róż czerwonych, gardenii i paków kwiecia pomarańczowego. Skórzane stołeczki, pokryte wyszyciami tuniskimi, stały obok. Z luków otworów okiennych zwisały stare miedziane maurytańskie lampy z wprawionymi drobnymi kawałkami ciemno barwionego szkła, jakie się spotykają w szacownych oknach kościelnych. W okrągłej miedzianej kadzielnicy, ustawionej w jednym z otworów okien, płonęły wciąż drobne gałązki, śląc w górę cienkie i kręte smużki wonnego dymu. Poprzez otwory łukowe i wązką przestrzeń drzwi gęste ściany listowia stały widome na strażnicy tego powietrznego schroniska, a gorące kwiaty purpurowe rzucały chmurę barwną skroś ten gaj ciemny.

I wciąż flet Larbi'ego siał słodką, czystą, fantastyczną muzykę z jakiegoś ukrytego miejsca obok.

Domini spojrzała na gospodarza, który stał u otworu drzwi, opierając się ręką o ścianę białą, jak słońcowa kość.

— Drugi dzień jestem dopiero w Afryce,—rzekła poprostu.—Może sobie pan wyobrazić, co myślę o pańskim ogrodzie i co w nim czuję. Nie potrzebuję mówić tego. Jestem atoli pewną, iż podróżni, których pan tak łaskawie wpuszcza, muszą mu dawać się we znaki swymi wtargnieniami.

— Nie,—rzekł z ciągłą powagą, która oprócz tego wzbudzała uprzejmość,—gdyż prawie zawsze wyjeżdżam, zanim podróżni tu przybędą. To brzmi trochę ostro? Ależ pani nie jest w tym sezonie, żeby to mogło pani dotyczyć.

— Przyjechałam tu dla spokoju,—rzekła prosto Domini.

Rzekła to, gdyż czuła, jak gdyby jej towarzysz już był to rozumiał.

Hrabia Anteoni cofnął rękę z białej ściany i pociągnął zlekka ku sobie gałąź purpurowego kwiecia poprzez otwór drzwi.

— Tu jest spokój w Beni-Mora, lub przynajmniej to, co zwą spokojem,—odrzekł raczej wolno i z zamysleniem.—Tu—by tak rzec—dzień całkiem podobny do dnia, noc do nocy, jak krople. Słońce bez przerwy świeci nad pustynią, a pustynia zawsze sprowadza pokój.

Puścił kwiaty, które lekko odskoczyły w tył i zawisły, drżąc w przestrzeni za jego smukłą postacią. I dodał:

— Więcej nad to nie można powiedzieć.

— Nie można?

Domini siadła na chwilę. Spoj-

rzała na niego swymi otwartymi oczyma i na kwiaty. Dźwięk fletu Larbi'ego wciąż drgał w jej uszach.

— Czy nie można czuć, myśleć nieco więcej?—spytała.

— O, dlaczegoż by nie? Jeżeli kto potrafi, jeżeli kto musi... Lecz jak? Afryka — proszę pamiętać — jest tak dzika i pełna wyrazu, jak piec ognisty.

— Tak jest, wiem już o tem — odrzekła.

Słowa jego wyraziły jej to, co czuła tu, w Beni-Mora, skrycie, a już tak przewładnie. On jej to rzekł, i ostatniej nocy obój afrykański powiedział jej to samo. Pokój i płomień. Czyż mogą istnieć razem, skrewnione, ożenione?

— Afryka zda mi się godzić sprzeczności,—dodała, uśmiechając się nieco i dotykając śnieżnej ściany swą prawą ręką.—Lecz to mój drugi tu dzień.

— Mój był, gdym był chłopcem szesnatoletnim.

— Ogród ten był już tu wtedy?

— Nie. Ja go utworzyłem. Przybyłem tu z matką. Matka mnie pieściła. Pozwoliła mi mieć zachcianki.

— Ogród ten — to zachcianka chłopięca pańska?

— Był nią. Teraz jest mężczyzny—

Zdawał się zawahać.

— Rajem,—podała Domini.

— Myślę, że miałem rzec: schroniskiem.

W surowym ostrym jego głosie nie było goryczy, chociaż słowa napewno nasuwały gorycz. Schron od ran, od trwogi, od rozczarowań, od skazania. Może przypomniał to sobie, gdyż dodał raczej prędko:

— Przyjeżdżam tu, pani, by być szalonym, gdyż przyjeżdżam tu myśleć. To jest moje osobliwe miejsce do myślenia.

— Jakie to dziwne!—zawołała Domini odruchowo, pochylając się na kanapie.

— A tem jest?

— Chcę tem powiedzieć, że Beni-Mora już wydała mi się idealnym miejscem do tego.

— By myśleć?

— By znaleźć prawdę w sobie.

Hrabia Anteoni spojrzał na nią prędko i badawczo. Oczy jego były nie wielkie, lecz były jasne, nic przytem nie miały z tęskności, tak często spotykanej w oczach jego rodaków. Twarz jego była wyrazista raczej przez swoją ruchomość, niż przez kontury. Rysy były drobne i rafinowane, nie dostojne, lecz niemylnie arystokratyczne. Nos był wrażliwy, z szerokimi nozdrzami. Długi i prosty wąs, zrzadka

siwiejący, nie zakrywał całkiem ust, których wargi były niezwykle blade. Uszy przystawały płasko do głowy i były subtelnie wykrojone. Broda była spiczasta. Wyraz ogólny całego lica był natężony, krytyczny, świadomy, lecz w sensie raczej nieufnym, niż trwożnym.

— Wysyłając ją naprzód, jako Ishmaela, by radziła o sobie w pustyni,—rzekł.

Dziwna ta uwaga dźwięczała — nie jak twierdzenie i nie jak pytanie, lecz poprostu, jak raptowny okrzyk myśli w ruchu.

— Czy pozwoli mi pani przeprowadzić się przez resztę ogrodu?—dodał głosem, już bardziej towarzyskim.

— Dziękuję panu,—odrzekła Domini, która była już wstała pod wpływem badawczego wzroku, jakim ją obrzucił.

Nie było w tem nic do odczucia, i nic też właściwie nie odczuła, jedynie uprzytomniła sobie, że byli zupełnie obcy dla siebie.

Kiedy wyszli na wstęgę bladą piasku, który okalał mały domek, Domini rzekła:

— Jak dzika i niezwykła jest ta melodia!

— Larbi'ego. Przypuszczam, że tak, choć wszystkie afrykańskie melodie nie budzą we mnie dziwu. Urodziłem się w majątku mego ojca, koło Tunisu. Był on sycylijskim, lecz każdej zimy przyjeżdżał do północnej Afryki. Słyszałem zawsze tam-tamy i fujarki—i znam prawie wszystkie pieśni, śpiewane przez nomadów w pustyni.

— To jest pieśń miłości, nie prawda-ż?

— Tak jest. Larbi jest wciąż zakochany, tak mi tu mówią. Każda nowa tancerka chwyta go w swoje sidła. Szczęśliwy Larbi!

— Czy dla tego, że tak łatwo się zakochuje?

— Może dlatego, że tak łatwo się odkochuje. Niech pani spojrzysz na niego!

W niewielkiej odległości, pod olbrzymiem drzewem bananowem, do połowy ukryty w stosach szkarłatnych geraniów, Domini ujrzała dużego i bardzo szpetnego araba, z cerą prawie czarną, kiwającego się na piętach, z długim żółtym i czerwonym fletem u swych grubych warg.

— A ja mu cały okrągły rok płacę jedynie za to!—rzekł hrabia.

Szorstki głos jego dźwięczał uprzejmie i uciesznie. Poszli dalej i flet Larbiego począł stopniowo zamierać.

— Nie mogę się pomimo to gniewać na szaleństwo i wady arabów,—ciągnął dalej hrabia.—Lubię



ch—jakiemi są; gnuśnych, do absurdów kochliwych, skorych do krwi rozlewu, wesołych, jak dzieci, kapryśnych, jak—otóż, pani, gdybym mówił do mężczyzny, mógłbym śmiało powiedzieć: jak piękne kobiety.

— Czemuż by nie?

— A więc tak. Sławię w nich ten zakorzeniony wstręt do cywilizacji. Lecz lubię ich, gdy pięć razy dziennie, jak to im nakazano, odmawiają swe modlitwy—i żaden arab, który, wbrew przykazaniu proroka, bierze wódkę do ust, nie ma wstępu do mego ogrodu.

W głosie jego, gdy mówił ostatnie słowa, zadźwięczała nuta surowa, nuta samowładcy. Podobało się to jednak Domini. Człowiek ten miał zasady, zasady surowe. To było widoczne. Było w nim coś dziwnie nie zdawkowego, coś, co znajdowało w niej odpowiednik. Był on najzupełniej grzeczny, lecz przytem całkowicie pewny siebie, całkowicie nie dbający o zdanie. Był on mężczyzną w wysokim stopniu swego gatunku.

— Jednak to bardzo zabawne,—dodał po długiej pauzie,—być otoczonym przez całkiem bezmyślnych ludzi, którzy mają twarze, najbardziej pełne myśli, i najbardziej pełne tajemnicy oczy: studnie bez prawdy na dnie.

Zaśmiał się.

— Nikt tu chyba prócz pana nie myśli!

— Zachowuję całe to szaleństwo dla siebie. Czyż nie ogromne jest to drzewo kokosowe?

Wskazał na drzewo tak wielkie, że zdało się sięgać do nieba.

— Tak jest, istotnie. Jak to, które przewodzi nad psem purpurowym.

— Widziała pani mego bałwanka?

— Smain mi go pokazywał — z szacunkiem.

— O, jest on tu królem prawdziwym. Arabowie oświadczają, że podczas nocy w pełni słyszą go, jak głos swój dołącza do chóru psów Kabylskich.

— I pan mówi prawie—jakby w to wierzył.

— Słusznie. Tutaj się wierzy znacznie więcej, niż gdzieindziej. Dlatego też tu przyjeżdżam.

— Rozumiem to — już sama mam tu więcej wiary.

— Jakto? Już czuje pani czar Beni-Mora, czar pustyni? O, tak! Tutaj są czary—i dla tego nigdy tu długo nie pozostaje.

— Z obawy przed czem?

Hrabia Anteoni szedł swobodnie przy jej boku. Miał on chód od bioder, jak wielu sycylijczyków,

zlekka kołyszący się, jakby chciał wciąż być świadomy, jak giętkiem jest jego ciało. Gdy Domini mówiła, zatrzymywał się. Byli teraz na placyku, gdzie łączyły się cztery ścieżki i widać było cztery perspektywy złota i zieleni, magicznego blasku słońca i cienia.

— Czy ja wiem, pani!.. By nie być poniesionym — Bóg wie gdzie—w myśli czy w sercu. O, tu niebezpiecznie w Beni-Mora, tu niebezpiecznie, pani. To powietrze rażące jest pełne wpływów, pełne duchów pustyni.

Spojrzał na nią w sposób, jakiego nie mogła zrozumieć, lecz nastęczyło jej to myśli o handlarzu perfum w małej ciemnej izbie, o wrzeniu raptownem, jakie miała, iż tajemnica, jak wąz czarny, skręca się w tem sercu świecącym Wschodu.

— A teraz, pani, jaką ścieżką pójdziemy? Jedna prowadzi do mojej bawialni, druga—na prawo—do kąpieli maurytańskich.

— A ta?

— Ta idzie prosto w dół do muru, który wychodzi na Saharę.

— Więc pójdźmy tą, jeśli łaska.

— Duchy pustyni wołają już panią? Ale ma pani rację. To, co czyni godnem uwagi ten ogród, to raczej nie jego urządzenie, ilość i rozmaitość drzew, lecz ta oczywistość, że leży on tuż o miedzę z Saharą — jak myśli człowieka o prawdzie leżą o miedzę z Prawdą.

Naraz skreślił sens myśli i surowy głos jego zadźwięczał nieco zgrzytliwie.

— Nie wierzę zresztą, by między niemi była taka różnica, jak między ogrodem i pustynią.

Spojrzała mu w oczy.

— To wygląda nadto na ironię.

— Lecz nie jest nią, — rzekł hrabia.

— Czy pan to odkrył w swym ogrodzie?

— To nowina dla pani?

Po raz pierwszy w głosie jego ozwał się dźwięk nikły goryczy.

— Odkrywa się często rzeczy najsmutniejsze w najbardziej kochanem miejscu,—dodał.—Tu już pani widzi pustynię.

Daleko, w małym wylocie tunelu drzew, wzdłuż którego szli, ukazał się jaskrawy kawałek dziękiego i drżącego jaśnienia słonecznego.

— Widzę tylko słońce,—rzekła Domini.

— Ja wiem tak dobrze, co ona ukrywa, iż wyobrażam sobie, że rzeczywiście widzę pustynię. Każdy lubi swój rodzaj, ten, który wciąż mu kłamie! Czyż nie tak?

— Wyobraźnia? Ale może nie

zgodzę się na to, że jest ona kłamczynią.

— Kto wie! Może pani ma rację.

Spojrzał na nią przychylnie swemi jasnymi oczyma. Nie raziło go to, że rozmowa ich była ciekawie poufna—biorąc pod uwagę, że byli sobie obcy, że nawet nie wiedział jej imienia. Domini naraz przyszło na myśl: ile on może mieć lat. Wejrzenie to robiło go znacznie starszym, niż wydawał się przedtem. W oczach jego był wyraz, jaki się często spotyka w oczach, które patrzą na dzieci, całujące lalki z głębokiem i przeświadczonem uczuciem. Zdały się mówić: „Całuj swą laleczkę. Odrzuć lata, kiedy już wierzyć nie można, że lalka ci zwróci pocałunki.“

— Teraz już zaczynam widzieć pustynię,—rzekła Domini po chwili milczącego spaceru.—Ach! jakże cudowna!

— Tak jest, cudowna. Najcudowniejsza rzecz w Przyrodzie. Będzie ją pani uważała jeszcze za cudowniejszą, kiedy sobie pani będzie wyobrażała, że ją zna dobrze.

— Kiedy będę wyobrażała?

— Nie sądzę, by mógł kto prawdziwie znać pustynię. Jest ona czemś, co wciąż woła i nigdy nie daje przystąpić do się blisko.

— Lecz tedy może ją kto czasami znieawidzieć.

— Nie sądzę, by tak było. Prawda czyni to samo, wie pani o tem. A ludzie wciąż starają się zbliżyć do niej.

— Lecz czasami to się im udaje.

— Czyż tak? Nie wtedy wszakże, kiedy mieszkają w ogrodach.

DCN.

#### TREŚĆ NUMERU 10-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*

Przywódca. *Stefan Krzywoszewski.*

Zegarmistrz. *Bogusław Adamowicz.*

Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:

Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zybkiewiczza, № 6.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.